SOBOTA
Nr 132 5 XI 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

„Twórz, wynajduj, próbuj!" – Takie zadania widział przed swoją młodą, zrodzoną z rewolucji ojczyzną jej poeta Włodzimierz Majakowski. 66 lat już mija od dnia, w którym proletariat rosyjski sięgnął po władzę dla ludu. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich dawno przestał być krajem podrostkiem – stał się światową potęgą. Państwem-symbolem pozwalającym wierzyć ludziom we wszystkich zakątkach świata, że socjalizm to nie tylko piękna idea, ale i w to, że możliwe jest jej urzeczywistnienie.

Związek Radziecki ma już swoją kilkudziesięcioletnią historię, a przecież hasło: twórz, wynajduj, próbuj! jest w nim ciągle, jak za dawnych lat żywe. Tworzy się z uporem bezpieczną codzienność i coraz lepszą przyszłość dla wszystkich radzieckich narodów. Zaprzęga się naukę do wynajdywania najszybszych dróg rozwoju kraju. Próbuje się niestrudzenie nawiązać nici porozumienia nie tylko z przyjaciółmi, ale i państwami obcego ideologicznie świata, po to, by glob ziemski był planetą spokojną, planetą bez wojen, planetą bezpiecznie żyjących ludzi.

(...) nasza republika
twardo
na nogi staje.
Inne
kraje
w stulecia obrosły.
Historia –
paszczą grobu.
A mój
kraj
podrostek –
twórz,
wynajduj,
próbuj!
Rozpiera radość.
Nie udzielić
wam wszystkim po cząstce?!

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

66 rocznica Rewolucji Październikowej

Nowy minerał – ceolit

ZSRR (PAI). Uczeni z Dalekowschodniego Instytutu Surowców Mineralnych odkryli niedaleko budowanej Bajkalsko-Amurskiej trasy nowy minerał – ceolit. Jest on bardzo cenny, zawiera bowiem mikroelementy potrzebne do produkcji nawozów mineralnych, a także dodatków do pasz. Tym to ważniejsze, że w przyszłości wokół magistrali powstaną wielkie kompleksy rolniczo-przemysłowe.

(jo)

SŁOŃCE OŻYWIA WULKANY

ZSRR (PAI). Blask Słońca wywołuje rozładowanie napięcia we wnętrzu Ziemi i przyspiesza wybuch wulkanów. Do takiego wniosku doszli uczeni z Azerbejdżanu, gdzie znajduje się 220 wulkanów błotnych. W trakcie badań ustalono, że wulkany błotne w różnych regionach świata ożywają i zamierają prawie jednocześnie. Specjaliści przypuszczają, że wpływa na to jakiś pozaziemski, kosmiczny czynnik. Z obserwacji wynika, że jest nim Słońce.

(jo)

Pierwszoklasista z Tallina... Fot. CAF-TASS

Nowa pralka automatyczna bez proszku do prania!

ZSRR (PAI). Radziecki wynalazca – informuje „Trud" – opracował nową pralkę automatyczną, która zrewolucjonizuje pranie. Nie wymaga bowiem żadnych środków piorących. Nie podano szczegółów konstrukcji, wiadomo jednak, że jej zasada opiera się na wykorzystaniu próżni. Otóż w hermetycznym zbiorniku z wodą i brudną bielizną obniża się ciśnienie, co powoduje, że woda zaczyna wrzeć w temperaturach niższych niż 100°C. Wypłukiwany w ten sposób brud jest odsysany z powierzchni wody.

Podobno takie pranie jest niezwykle skuteczne i nie niszczy bielizny, bo nie ściera się ona tak jak w tradycyjnych pralkach z obracającym się bębnem, i nie podlega działaniu środków chemicznych.

(jo)

SPOSÓB NA „CZERWONEGO KURA"

ZSRR (PAI). Specjaliści z radzieckiego Instytutu Konstrukcji Budowlanych opracowali nową technologię ochrony konstrukcji metalowych przed zgubnym działaniem ognia. Wystarczy bowiem 10–15 minut w temperaturze +500°C, żeby konstrukcja z metalu przestała istnieć.

Uczeni opracowali nowy, mało skomplikowany sposób ochrony metalu przed ogniem. Specjalna warstwa ochronna z mineralnej waty z granulowanymi włóknami bazaltowymi spełnia to zadanie. Jej grubość może być różna, od 20–30 mm. Warstwa ochronna działa na takiej samej zasadzie jak stosowane w Azji Środkowej ciepłe płaszcze i czapki z owczej skóry, które chronią przed upałem. Wykończenie w ten sposób belek konstrukcyjnych, rygli, kolumn znacznie zwiększa ich odporność na działanie płomieni.

(jo)

Jeziora z wodą... mineralną

ZSRR (PAP). Pod ścisłą ochronę zostały wzięte dwa niezwykłe jeziora leśne w południowo-wschodniej części obwodu tulskiego. Przy średnicy zaledwie ok. 40–50 metrów mogą skryć w swych głębinach pięciopiętrowy dom. Pochodzenie tych jezior uczeni tłumaczą długotrwałym wymywaniem pieczar przez podziemne wody. Po zawaleniu się „stropu" pieczary powstaje taka właśnie studnia, w której woda przypomina smakiem i składem mineralną. Zawiera ona w litrze 2,7 grama siarczanu wapniowego i magnezowego. (kl)

GARBARNIA SPRZED 20 tys. LAT

ZSRR (PAP). Na Czukotce odkryto niedawno budowle, stanowiące w okresie lodowcowym coś w rodzaju warsztatu garbarskiego. Zachowane do dziś narzędzie do wyprawiania skór zwierzęcych i strzały świadczą o tym, że głównym zajęciem mieszkańców półwyspu przed 20 tys. lat było polowanie. (kl)

DRAPACZE CHMUR NA WIECZNEJ ZMARZLINIE

ZSRR (PAI). W Jakucji rozpoczęto eksperymentalne budownictwo domów mieszkalnych na wiecznej zmarzlinie. Po wysypaniu na placu budowy ponad miliona metrów sześciennych piasku, w grunt wbijane są 5-metrowe pale żelazobetonowe, zakończone tzw. „butem", który w razie rozmiękczenia podłoża chroni budynek przed osiadaniem. Na nich dopiero jest wznoszony budynek. Przy zastosowaniu tej technologii w Jakucku (stolicy Jakucji) planuje się stawianie budynków 9, 18, 24, a nawet 36-piętrowych.

(jo)

Lekarstwo z oceanu

ZSRR (PAI). Radzieccy naukowcy z Instytutu Chemii Bioorganicznej prowadzą badania flory i fauny Oceanu Spokojnego. Jak się okazuje, rośliny i zwierzęta morskie są nosicielami aktywnych biologicznie związków, których brak na lądzie. Wydzielenie tych związków przyniosło już pożądane efekty w postaci nowych rodzajów leków.

(kl)

REDAKCYJNA POCZTA

Pobić nie znaczy zwyciężyć

Mam 14 lat i od kilku miesięcy uczę się karate. Z oburzeniem przyjmuję coraz to nowe wiadomości o wybrykach młodzieży uczącej się sztuk walki Dalekiego Wschodu. Jestem gorącym wielbicielem karate, interesuje mnie kung-fu, aikido, kendo. Nigdy jednak nie pogodzę się z faktem, że praktykanci tych walk używają swoich umiejętności poza dojo (salą ćwiczeń), nie będąc do tego zmuszeni.

W moim klubie nauczycielem jest Ayashi. Na sali panuje wspaniała cisza przerywana jedynie komendami mistrza i bojowymi okrzykami ćwiczących. Przestrzegany jest starojapoński rytuał związany z treningiem. Nasz trener jest bardzo surowy i wymagający. Na moich oczach wyrzucił z dojo ucznia, o którym dowiedział się, że bije młodszych kolegów. Niektórzy uczniowie odchodzą z klubu po kilku lub kilkunastu treningach, nie wytrzymując wielkiego wysiłku i nienagannej dyscypliny. To właśnie oni (nie mówiąc tylko o naszym klubie) często zakładają własne „ciemne kółka" podając się za wielkich mistrzów, w rzeczywistości nic nie umiejąc. To właśnie oni i ich „uczniowie" biją słabszych i napadają na bezbronnych. I to właśnie do nich czuję głęboką pogardę, bo myślą, że są silni, gdy napadają na słabszego, a to żadna sztuka! Bardzo proszę o wydrukowanie mojego listu, niech wszyscy zrozumieją filozofię karate, które powinno stać się umiejętnością życia, a nie sztuką bicia. Pragnę także przytoczyć słowa jednego z największych mistrzów karate, który mówił: „Walka, która nie odbyła się, to walka wygrana".

Paweł Nabiałek

REDAKCJA ODPOWIADA: W imieniu Daniela (nr 81 „ŚM") serdecznie dziękujemy za setki listów, jakie do niego przysłało wielu czytelników. Listy przekazaliśmy Danielowi.

Źle pojęta samorządność

Chodzę do jednej klasy z moją przyjaciółką, Basią. Od I klasy siedzimy razem w ławce. Mamy po 13 lat i należymy do bardzo zgranej klasy. Lubimy się, a właściwie lubiłyśmy się, ponieważ wszystko uległo zmianie, gdy Basia została wybrana gospodynią klasy. Tak naprawdę to wybrała ją wychowawczyni, ponieważ uważała, że Basia się do tego nadaje. Wcześniej gospodynią klasy była koleżanka, którą bardzo lubiliśmy, ale pani powiedziała, że ona ma „miękkie serce". Od tego właśnie momentu moja przyjaciółka stała się zarozumiała; nic nikomu nie chce pożyczyć, mówi że u niej nie ma sklepu, obmawia mnie do koleżanek, jest nie do zniesienia. Nikt jej nie lubi, wszyscy jej dokuczają, wszyscy są przeciwko niej. Przyrzekłam sobie, że nie będę już siedziała z Baśką. Ale nie wiem, jak jej to powiedzieć, ponieważ ona chce nadal ze mną siedzieć, mimo że ja daję po sobie poznać, iż mam jej dość.

Kryśka

OD REDAKCJI: Nie wszyscy umieją udźwignąć ciężar władzy i odpowiedzialności za innych. Twojej koleżance wyraźnie brak tej umiejętności. Dlatego właśnie nadrabia poważną i władczą miną, sądząc, że skoro sama wychowawczyni ją wybrała, to przecież nikt nie może jej zagrozić, a tym bardziej oceniać. Tymczasem gospodarz czy gospodyni klasy ma być reprezentantem swoich kolegów i dlatego o tym, komu powierzyć tak odpowiedzialną funkcję, powinni decydować wszyscy członkowie klasy poprzez głosowanie. Skoro Wasza wychowawczyni zapomniała o tej podstawowej zasadzie samorządności klasowej, to Waszym obowiązkiem jest o tym przypomnieć. Natomiast Ty po prostu powiedz Baśce, że jesteś zawiedziona jej postawą i dlatego, jeżeli się nie zmieni, nie masz ochoty przyjaźnić się z nią dalej. (es)

Kącik Przyjaciół

CHCĄ Z WAMI KORESPONDOWAĆ PIONIERKI ZE ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

W tak pomysłowej formie przysłały do KP listy pionierki Pałacu Pionierów z Korjażma w ZSRR. Pragną – jak piszą – nawiązać korespondencję z rówieśnikami z Polski, jak najwięcej dowiedzieć się o Waszym życiu, zainteresowaniach, a także o naszym kraju. Mają nadzieję, że tą drogą nawiążą serdeczne przyjaźnie. Wierzymy, iż tak się stanie.

Listy do wybranej koleżanki wysyłajcie pod następującym adresem:

Dworjec Pionierow, Klub Internacjonalnoj Drużby
Korjażma
Archangielska obłast, ZSRR – 165 651

● **Luba Bystrowa i Nadia Nikołajewa** kolekcjonują znaczki, kalendarzyki i widokówki, ● **Lena Krikidyna,** ● **Irina Utkina** bardzo lubi zwierzęta, ma ślicznego psa, który nazywa się Iengik, ● **Natalia Nikopowa,** ● **Ania Czirkowa,** ● **Anżelia Szawrukowa,** ● **Olga Tarasowa,** ● **Nadieżda Mazonko,** ● **Marina Ponitkowa,** ● **Lena Hudiakowa,** ● **Marina Okułowa,** ● **Oksana Iwoninska,** ● **Lena Mieńszakowa,** ● **Irina Igniatowa,** ● **Natalia Olieszkowa** i **Tatiana Bachtina** (uczennice V klasy) oraz ● **Talia Ankiewa,** ● **Tania Dejnieko,** ● **Luda Fiedoronczuk** (z klasy VI) i **Ina Jekimowska** (z klasy IV).

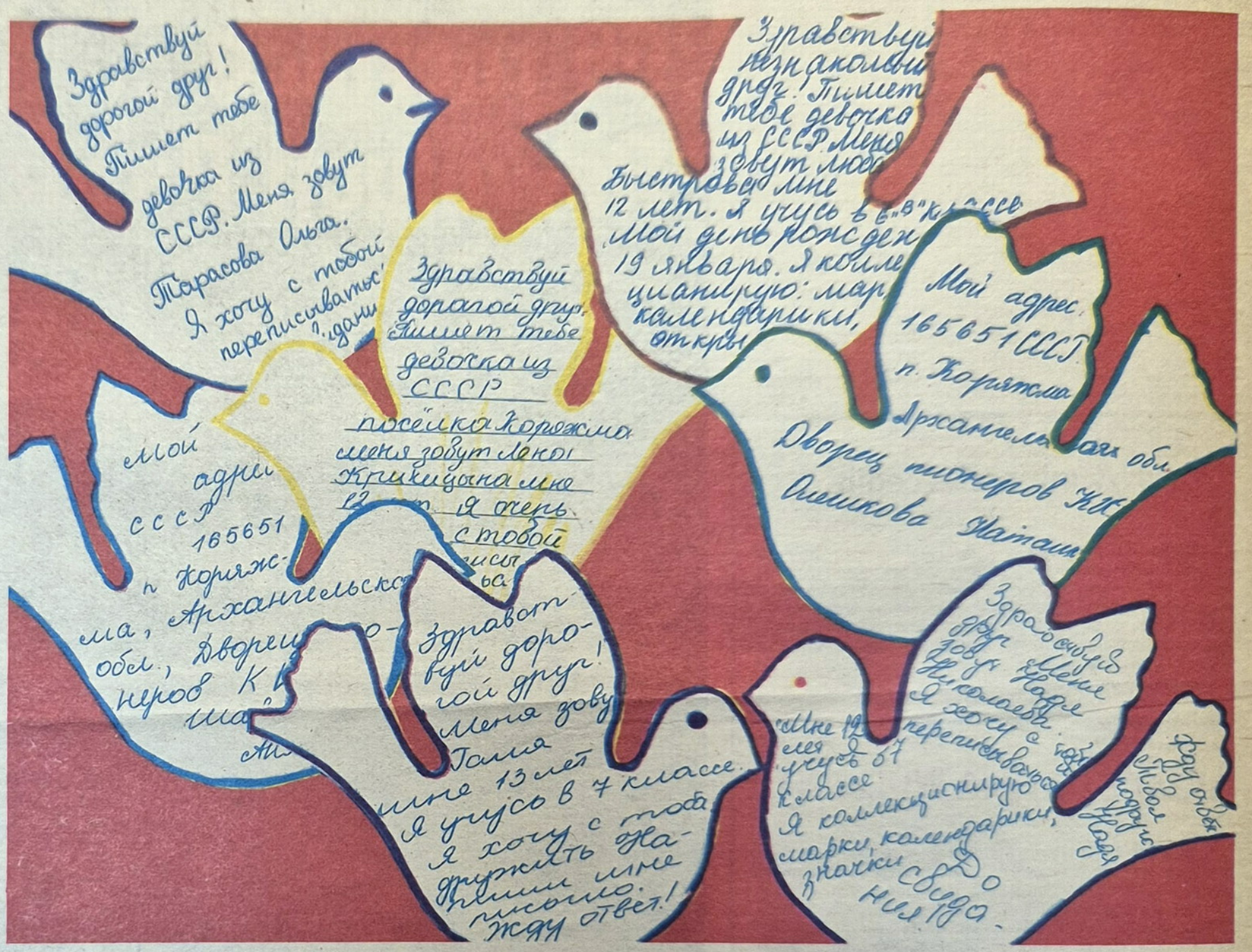

Wspomnienia z wakacji w Arteku

WIELKA PRZYGODA

Takich wakacji jeszcze nie przeżyłem. Mój wyjazd do Arteku był wielką przygodą. Chciałbym opisać ją dokładnie i całą.

Na dzień przed wyjazdem zorganizowano jednodniowe zgrupowanie w Głównej Kwaterze ZHP. W tym czasie poznaliśmy naszą kadrę harcerską, która razem z nami udała się do Arteku. Poznaliśmy również kolegów i koleżanki z Elbląga i Poznania. Nasze prawdziwe więzy przyjaźni zacieśniły się w pociągu z Warszawy do Moskwy. Podróż minęła spokojnie i po 21 godzinach jazdy szczęśliwie dotarliśmy do Moskwy. Na dworcu serdecznie witali nas przedstawiciele organizacji pionierskich oraz tłumacze, którzy towarzyszyli nam podczas pobytu w Arteku. Z dworca udaliśmy się autokarami do hotelu „Arionok", podziwiając po drodze pierwsze uroki Moskwy. Po obfitym obiedzie udaliśmy się na wycieczkę po Moskwie. Obejrzeliśmy Plac Czerwony, a następnie udaliśmy się do olbrzymiego sklepu towarowego nazywającego się GUM. Tam dokonaliśmy pierwszych zakupów pamiątek, lodów itp. Po tej wycieczce pojechaliśmy brzegiem rzeki Moskwy do naszego hotelu. W hotelu rozbrzmiewały najróżniejsze języki, w sumie znajdowały się w nim dzieci z 65 krajów. Bardzo szybko zawarliśmy przyjaźń z wieloma rówieśnikami prawie z całego świata.

Nazajutrz rano ogromną kolumną (65 autokarów) wszyscy uczestnicy wyruszyli na dworzec kolejowy, gdzie czekał już pociąg przeznaczony tylko dla nas. Tymże pociągiem ruszyliśmy w dalszą podróż do Arteku. W wagonie zajmowanym przez naszą grupę jechali również pionierzy z Grecji, Francji oraz RFN. Zaprzyjaźniliśmy się już w początkowej fazie podróży. Minęła ona we wspaniałej atmosferze i choć trwała długo (25 godzin), ani przez chwilę się nam nie nudziło. Ciekawostką w podróży było to, że pociąg przejeżdżał w pewnym momencie przez wąski pas ziemi – z jednej strony widać było morze Czarne, a z drugiej Azorskie.

Do Arteku dotarliśmy o godz. 19.30. Temperatura powietrza wynosiła 31°C. Na początku przeszliśmy wstępne badania lekarskie, wzięliśmy kąpiel i poszliśmy spać, ponieważ byliśmy bardzo zmęczeni. Na drugi dzień rozpoczęliśmy normalny dzień obozowy; o 7.30 pobudka, gimnastyka, sprzątanie, 8.40 śniadanie, 9.00 zajęcia w grupie; 11.00 – 13.00 plaża, obiad, cisza, 15.30 plaża, 16.30 podwieczorek, 17.00 – gry sportowe, 19.00 kolacja, 19.30 film lub dyskoteka.

Teraz chcę coś powiedzieć o Arteku i jego położeniu. Artek leży na zboczu gór, które łagodnie schodzą do Morza Czarnego. Cały obóz jest podzielony na kilka mniejszych obozów; w zależności od położenia różnią się one nazwami, np. Kryształowy, Przybrzeżny, Morski, Skalny, Polny, w którym mieszkałem. Dwa razy wszyscy uczestnicy obozu, tj. 5 tysięcy osób spotkało się na wspólnej zabawie. Pierwszą okazją były Igrzyska Olimpijskie, drugą wielki karnawał. Było to wielkie barwne widowisko; na drugi dzień odbył się obozowy karnawał połączony z dyskoteką i był to karnawał pożegnalny. Podczas pożegnania lało się dużo łez, płakali wszyscy, jeszcze podczas podróży autobusem nie mogliśmy się powstrzymać od płaczu.

O 12.00 wyjechaliśmy pociągiem do Moskwy, dokąd przybyliśmy późno w nocy. Następnego dnia po śniadaniu wyruszyliśmy do moskiewskich sklepów, by dokonać zakupu upominków i prezentów. Przez pozostałe dwa dni zwiedzaliśmy Kreml. Na Kremlu oprócz pięknych cerkwi znajdują się dwie zdumiewające swym ogromem rzeczy. Jest to ogromna (30 ton) armata „Car-Puszka", oraz ogromny (20 ton) dzwon. Oprócz tego zwiedzaliśmy Mauzoleum Lenina.

Następnego dnia pociągiem „Polonez" ruszyliśmy w drogę powrotną do Warszawy. Podróż minęła spokojnie i 20 sierpnia wróciliśmy do Warszawy, gdzie czekali i witali nas stęsknieni rodzice. I znowu łzy i powrót do domu i koniec wielkiej, jedynej, najpiękniejszej przygody w moim życiu.

Pozdrowienia dla „Świata Młodych" przesyła **Piotr Grzesik z rodzicami i siostrą.**

JESZCZE TAM WRÓCĘ...

Wakacje w Arteku spędziłam bardzo przyjemnie. Jestem bardzo szczęśliwa, dopisało mi szczęście, wygrałam konkurs i mogłam zwiedzić tak piękne i atrakcyjne miasteczko pionierów.

Czas mijał nam bardzo szybko na różnego rodzaju konkursach, festiwalach, grach i olimpiadach sportowych. Chodziliśmy nad morze kąpać się i opalać, oraz podziwiać piękny, bezkresny krajobraz morza.

Zdobywaliśmy szczyt górski Ajudah, na którym każdy z nas wypowiedział w myśli swoje marzenie i położył prawą rękę na sercu, a lewą na symbolicznym kamieniu. Wówczas, jak głosi legenda, marzenie się spełni.

Wszystkie delegacje przebywające w Arteku brały udział w manifestacji antywojennej w Jałcie. Manifestowaliśmy tam przeciwko użyciu bomby neutronowej.

Zawarłam serdeczną przyjaźń również z pionierami z innych krajów i myślę, że będzie ona trwać przez długie lata. Prowadzę też korespondencję i już otrzymałam wiele listów i pocztówek.

Pobyt w ZSRR, a w szczególności w Moskwie potwierdził moje wyobrażenie o tym kraju, gdzie byliśmy tak bardzo mile i gościnnie przyjęci. Bardzo bym chciała jeszcze raz tam pojechać; tego też mi życzyły koleżanki ze Związku Radzieckiego.

Iwona Orzechowska

Kącik Przyjaciół

● Mam 12 lat. Zbieram zdjęcia piłkarzy i drużyn piłkarskich, również piosenkarzy i samochodów, **Mariusz Nowicki, ul. Jeżyka 20/16, 62-100 Wągrowiec;** ● Zbieram znaczki i widokówki. Gram na flecie. Chętnie nawiążę korespondencję z osobami o podobnych zainteresowaniach, urodzonymi 2 IV 1972 r, **Anna Lewandowska, Świątniki, 87-813 Kłobia, woj. włocławskie;** ● Bardzo interesuje mnie piłka nożna i szermierka. Lubię słuchać muzyki młodzieżowej i uwielbiam zespoły: Republikę, Lombard, Perfect, ABBA oraz Elvisa Presley'a. Zbieram fotosy piosenkarzy, naklejki i widokówki, **Iwona Głowacka, Kępiaste 24, 05-084 Leszno k/Błonia;** ● Mam 14 lat. Jestem zastępową i bardzo interesuję się harcerstwem. Zbieram fotosy zespołów i piosenkarzy, a także wiersze do pamiętników. Lubię muzykę pop i rockową, **Małgorzata Piech, bl. PKP 122/18, 37-447 Lipa, woj. tarnobrzeskie.**

Pamięci wojennych fotoreporterów

CENA PRAWDY

Na wszystkich frontach Wielkiej Wojny Narodowej towarzyszyli radzieckim żołnierzom fotoreporterzy. Było ich dużo. I tych nieznanych, i tych, których nazwiska znane są dziś dobrze, nie tylko w Związku Radzieckim, ale i w wielu innych krajach.

Przeszli całą drogę od Wołgi do Berlina, z zawieszonym u szyi aparatem fotograficznym i automatem w ręku.

Jak wszyscy, wojowali w pierwszej linii i zdobywali najeżone ogniem niemieckie miasta. Jak wszyscy – wierzyli w zwycięstwo. Jak wszyscy – nienawidzili wroga.

Tę wiarę i tę nienawiść zlewali w jedność w momentach, gdy przykładali aparat do oka.

Fotografowali, by utrwalić na zawsze czyn zbrojny narodu. Utrwalić, nie w monumentalnym brązie, lecz w tych zwyczajnych, dobrze znanych każdemu frontowemu żołnierzowi momentach, z których składały się powszednie, długie i ciężkie dni wojny.

Fotografowali, by ten czyn zbrojny narodu i jego bohaterów pokazywać na bieżące, by dodawać siły i ducha do przetrwania i do walki.

Pracowali dla gazet centralnych, agencji prasowych, gazet armijnych... jakże często z narażeniem życia...

Borys Iwanickij, fotokorespondent „Komsomolskiej Prawdy"... Kierownik działu wojennego tej gazety, chcąc uchronić życie swego wysłannika, nadaje mu na front telegram, by natychmiast po wykonaniu zadań wracał do Moskwy, do redakcji. Iwanickij jednak wsiada do bojowego samolotu. A potem do Moskwy przychodzi telegram z pułku lotniczego: ***„Podczas pełnienia obowiązków służbowych, w czasie walki powietrznej, zginął korespondent wojenny gazety „Komsomolskaja Prawda" Borys Prokopiewicz Iwanickij".***

Do redakcji nie wrócili: fotokorespondent „Izwiestii" Paweł Troszkin, fotokorespondent „Prawdy" Michaił Kałasznikow, fotokorespondent „Czerwonej Gwiazdy" Michaił Bernsztejn, fotokorespondent „Komsomolskiej Prawdy" Siergiej Strunnikow, fotoreporeter TASS Nikołaj Kubiejew...

* * *

Zwróciliście zapewne uwagę, że słowa te piszę nieco patetycznie. Nie czynię tego jednak przez przypadek.

„Dowódca batalionu". Wykonał to zdjęcie jeden z czołowych fotoreporterów radzieckich, Maks Alpert

Patos ten był w Wielkiej Wojnie Narodowej, był w romantycznym patriotyźmie całego narodu biorącego udział w tej strasznej wojnie.

W jednym z numerów miesięcznika „Sowietskoje Foto", przeczytałem: ***„W każdym radzieckim żołnierzu zawsze była niezłomna wiara w Zwycięstwo, i tę wielką wiarę i siłę ducha, odwagę wysławiali w swoich fotografiach mistrzowie wojennego reportażu. Od pierwszego do ostatniego dnia wojny ich trud był prawdziwym służeniem Zwycięstwu. To nie jest szumny frazes, to jest prawda. Tak było. Na wielu frontach – od Stalingradu do Berlina – we wrzawie walk spotykałem się z wojennymi fotopublicystami. Żaden z nich nigdy nie myślał o własnym bezpieczeństwie. Zawsze spieszyli zawiadomić o każdym dokonanym bohaterskim czynie, o każdym bohaterze...".***

Wiara w zwycięstwo, umacniana i pobudzana przez zamieszczane w gazetach zdjęcia wojennych fotoreporterów, zdjęcia, które były owocem ich ciężkiej i niebezpiecznej pracy, odegrała znaczącą rolę w dziele rozgromienia potężnego wroga, jakim był hitlerowski faszyzm.

Obok prezentuję Wam kilka sławnych zdjęć znanych radzieckich fotoreporterów wojennych...

Tekst i reprodukcje zdjęć:
WŁODZIMIERZ BARCHACZ

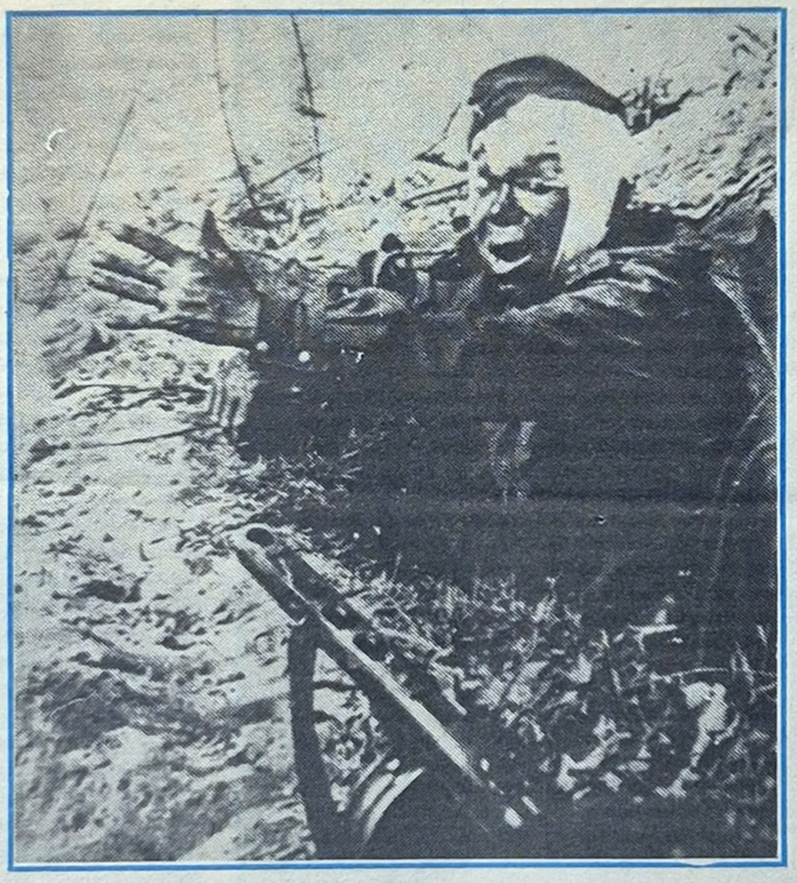

„Oficer polityczny przedłuża walkę". Autorem tej, jakże wymownej fotografii jest Iwan Szagin

Ta fotografia obiegła cały świat. Zrobił ją Dmitrij Baltermanc po bitwie z hitlerowcami pod Kerczem (Krym) Zatytułowana jest: „Rozpacz"

Zdjęcie, wykonane podczas Defilady Zwycięstwa w Moskwie w 1945 roku przez Jewgienija Chaldeja

Już od dawna jezioro Kol-kol na południu Kazachstanu otoczone jest tajemnicą. Jak głosi legenda jezioro to zamieszkuje potwór, który przypomina białego jednogarbnego wielbłąda. Ma on długą szyję i głowę węża. Podobno dzięki niemu woda w jeziorze ma uzdrawiającą moc...

Wybraliśmy dla Was ze „Sputnika"

TAJEMNICA KAZACHSKIEGO „NESSI"

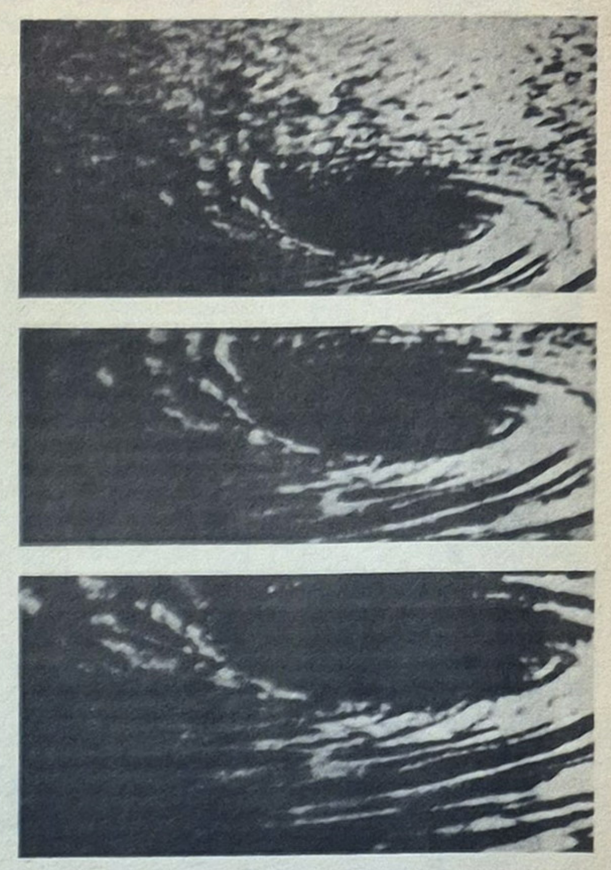

Zadziwiła mnie nie tyle sama legenda (bo mało to na świecie legend?), ile jej żywotność. Niedawno pewien pasterz opowiedział mi o takim oto zdarzeniu. Dwaj chłopcy chcieli wykąpać się w jeziorze. Gdy tylko weszli do wody, pasterz usłyszał ich krzyki. Kiedy podbiegł, kąpiących się już nie zobaczył, a jezioro było bardzo wzburzone. Przestraszony pobiegł po pomoc. Ciała chłopców udało się wydobyć, ale na ratunek było już za późno...

Opowiadanie naocznego świadka nie przesądza jeszcze całej sprawy. Po wysłuchaniu tego, co mówili tamtejsi mieszkańcy, byłem już pewien, że coś musi przedłużać żywotność legendy. Ale co? Na dodatek wszyscy uparcie twierdzili, że poziom jeziora niezależnie od tego czy jest deszcz, czy susza, zawsze jest stały. Po raz pierwszy udało mi się przyjechać nad to jezioro pod koniec lipca 1973 roku.

Zgodnie z opisem woda w jeziorze rzeczywiście była lazurowo-przejrzysta („Kol-kol" w tłumaczeniu znaczy „błękitne jezioro"). Ale nic szczególnego tam nie zauważyłem. Żadnych śladów potwora.

Na pobyt nad jeziorem w następnym roku z ogromnym trudem namówił mnie mój syn, który w głębi duszy miał nadzieję, że ujrzy wreszcie naszego kazachskiego „Nessi".

On włóczył się z aparatem nad brzegiem w poszukiwaniu ciekawego widoku, ja zaś zostawiłem na górze plecak, aparaty fotograficzne i strzelbę, zszedłem nad samą wodę i zacząłem obserwować ptaki, które w pobliżu coś tam wyławiały z wody.

I nagle nie wiadomo dlaczego wystraszone rozpierzchły się. Ciągle jednak krążyły nad tym miejscem i od czasu do czasu z pełnym trwogi krzykiem podrywały się prawie pionowo w górę. W żaden sposób nie mogłem zrozumieć ich zachowania, bo jezioro było zupełnie spokojne. Nieoczekiwanie jednak w odległości siedmiu-ośmiu metrów jezioro pokryło się licznymi zmarszczkami. Następnie zarysowały się jakieś zygzaki, jakby pod wodą płynęło ogromne wężowate ciało o długości, jak mi się udało ustalić na oko, około piętnastu metrów. A ukryta pod wodą głowa i ogon były zupełnie nieruchome, jakby stworzenie wiło się w miejscu.

Od razu przypomniałem sobie opowiadanie pasterza o nagłym utonięciu chłopców... Szybko wdrapałem się na urwisko po strzelbę. Schwyciłem ją, ale nie zszedłem już na dół. Wężowate ruchy były tak silne, że rozbijały małe fale podniesione podmuchem wiatru. Trwało to kilka minut i byłem pewien, że lada moment z głębi jeziora wynurzy się głowa potwora. Wtedy zupełnie zapomniałem o sceptycyzmie badacza!

Po pewnym czasie „wąż" zaczął się stopniowo zanurzać. Po chwili wszystko zniknęło. Dopiero wtedy przypomnieliśmy sobie o aparatach i kamerze. Ale było już za późno... Zetknęliśmy się z zagadką, którą trudno było rozwiązać. Czy rzeczywiście jezioro zamieszkuje nie znane nauce stworzenie?!

Opowiedziałem o tej całej historii w redakcji. Instytut Rozwojowy Morfologii i Ekologii Zwierząt Akademii Nauk ZSRR pomógł mi w przeprowadzeniu dokładnych badań jeziora. Zorganizowaliśmy specjalną ekspedycję przyrodników. Wyposażono nas w taką aparaturę, że mogliśmy prowadzić obserwacje nie tylko w dzień, ale też podczas księżycowych nocy.

I oto w końcu lipca 1977 roku znowu jestem nad jeziorem. Już od pierwszych dni masowo zaczęli nas odwiedzać pasterze i geolodzy. Doskonale wiedzieli o naszej ekspedycji, znali nasze zadania i starali się nam w jakiś sposób pomóc.

Pierwszego dnia postanowiliśmy dokładnie zbadać jezioro. W tym celu pełniliśmy nad jeziorem całodobowy dyżur na zmianę. Mieliśmy szczęście. W środku nocy, kiedy tylko księżyc skrył się za górami, nagle usłyszeliśmy ryk, podobny do przytłumionego krzyku wielbłąda. Następnie dał się słyszeć głośny świst... Podobne odgłosy, na dzień przed naszym przyjazdem, słyszała pewna kobieta, która przejeżdżała obok jeziora. Tak się przestraszyła i tak bardzo uwierzyła w istnienie potwora, że wracając objechała jezioro i nadłożyła przy tym kilka kilometrów drogi. Powiedział nam o tym jej brat. Dowiedzieliśmy się również, że w tych dniach, kiedy przygnał stado owiec nad jezioro do wodopoju, dwie zniknęły bez śladu. Po tym wszystkim, co sami zobaczyliśmy i usłyszeliśmy, trudno było uznać opowiadanie za niewiarygodne.

Zdwoiliśmy ostrożność. Dalsze obserwacje potwierdziły, że rzeczywiście czasami z jeziora dochodzą dziwne odgłosy. Ale jakie może być ich pochodzenie? Postanowiliśmy więc przeprowadzić mały eksperyment. Kiedy znowu dał się słyszeć świst, krzyknąłem. Echo wzmocniło mój głos, który głośno zabrzmiał nad jeziorem. Taki hałas mógł każdego przestraszyć, jednak świst... nie

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Latający dywan z „Kryształowej Góry"

Tego się nie spodziewali. Siedzieli właśnie w gabinecie redaktora naczelnego „Świata Młodych" (gdzie trafili na koniec zwiedzania redakcji), gdy dowiedzieli się, że pojadą do Arteku. Obóz jest nagrodą Głównej Kwatery ZHP za to, że od kilku lat są najlepszym dziecięcym teatrem harcerskim. Łejery na Krymie. Tego jeszcze nie było.

Teraz zostały im tylko wspomnienia. Lato się skończyło, jesienny wiatr zrywa ostatnie liście z drzew, a oni siedząc przy gorącej herbacie grzeją się wspomnieniami z wakacji.

Gdy myślę o Arteku – mówi Małgorzata – staje mi przed oczami wspaniałe, groźne i naprawdę czarne Morze Czarne oraz ogromny szczyt Ajudahu. I widoki. Przepiękne widoki na ten wielki ogród botaniczny jakim dla nas była tamtejsza przyroda. Palmy, cyprysy i dużo, dużo słońca. Panorama oglądanego z góry morza, białe fale marszczące się na czarnej wodzie i leżące u stóp górskich szczytów miasteczko pionierskie.

Mówi to wszystko spokojnie, powoli, uśmiecha się do siebie a przymknięte powieki zdradzają, że myślami jest daleko; *„... tam gdzie zawsze świeci słońce, gdzie nie paga nigdy deszcz..."*

– Miasteczko pionierskie zajmuje ogromną przestrzeń – dodaje po chwili zadumy. – W tym roku musiało pomieścić reprezentacje z 67 krajów. Razem było dziesięć obozów po 400–500 uczestników. Mieszkaliśmy w nowoczesnych piętrowych pawilonach. Nasz nazywał się „Kryształowa Góra". Byli w nim także Grecy, Francuzi, no i oczywiście gospodarze. Dziwne, ale mimo że prawie nikt nie znał innego języka niż własny, rozumieliśmy się doskonale.

– To było niepojęte – przerywa Małgorzacie Krysia. – Pamiętacie, pewnego dnia odwiedzili nas Wietnamczycy. Powiało grozą, bo choć był tłumacz, to przecież zdawaliśmy sobie sprawę, że porozumienie się kilkudziesięciu osób jest niemożliwe. Zaczęliśmy śpiewać piosenkę „Dalej wesoło" i o dziwo, okazało się, że oni też ią znają. Lody stopniały zupełnie, gdy usiedliśmy w kręgu, na przemian Polak, Wietnamczyk. Dużo śmiechu było, gdy my wymawialiśmy ich, a oni nasze imiona. Zresztą nie było żadnych problemów z porozumieniem się. Nie bardzo wiem jak to się działo, ale nie było bariery językowej, czuliśmy się jak jedna wielka rodzina.

– Najtrudniej było się rozstać – wspomina dalej Małgorzata. – wiedzieliśmy, że w tej gromadzie nie zobaczymy się już nigdy. Ogromną niespodziankę zrobili nam Grecy i Francuzi. Gdy odjeżdżaliśmy, przyszli nas pożegnać ubrani w nasze barwy narodowe – białe koszule i czerwone spodenki.

– Jedna z dziewcząt była ubrana akurat odwrotnie – wtrąca milcząca do tej pory Dorota. – Bardzo nas przepraszała i powtarzała, że nie jest „Monaco". Mówiła, że właściwie powinna chodzić na rękach, ale nie ma tyle siły.

Zostały wspomnienia. I listy. Szał wymieniania adresów ogarnął wszystkich. Dorota otrzymała prawie 30 listów. Krysia i Małgorzata mogą poszczycić się niewiele skromniejszą korespondencją.

Łejery już przed wyjazdem do Arteku przygotowały specjalny program. Pomysł był – jak zwykle u nich – prosty i zwariowany. Dywan. Taki zwykły, trochę już wysłużony. Tyle, że należał do rodziny „cudownych" i latał. Podczas przedstawienia unosił ich od przedstawicieli jednego kraju do drugiego. Wszędzie zatrzymywali się na chwilę i wraz z kolegami kraju, przy którym aktualnie „wylądowali", śpiewali ich najbardziej znaną piosenkę i bawili się w ich najpopularniejszą zabawę.

Emocje, jakie towarzyszyły im przy organizowaniu dnia polskiego, do dzisiaj pamiętają. Dobrze się nabiedzili zanim wszystko wypadło tak jak chcieli. Oczywiście jak przystało na trupę aktorską całość potraktowali trochę z przymrużeniem oka. Na początek urządzili wystawę swoich łejerowskich zdjęć. Miała ogromne wzięcie, była jednocześnie kroniką historii zespołu i przeglądem jego osiągnięć.

Dzień polski zaczęli i zakończyli po obozowemu. Rano normalny apel, wieczorem ognisko. Ognisko wywołało zresztą wiele wrażeń, jako że ten harcerski zwyczaj zupełnie nie był znany wśród artekowskich obozowiczów. Dzień polski stworzył także okazję do generalnego wyjaśnienia regulaminu mundurowego. Mundury podobały się wszystkim i wzbudzały powszechną zazdrość, tym większą, że żadna inna organizacja, która przysłała swoje reprezentacje, nie mogła poszczycić się nawet w połowie tak wspaniałym strojem. Harcerskie mundury zrobiły furorę. Rogatywki, krzyże, sznury, chusty i plakietki. Podobało się wszystko, każdy kogo spotkali natychmiast chciał coś na pamiątkę. A już szczególnie powodzenie miały dziewczyny. Nic dziwnego. Kto je widział zrozumie, a kto nie, niech żałuje. Dorota wspomina ciemnego blondyna Kostię, a Krysia Oskara ze Szwecji. Obie pary utrzymują ze sobą stałą i częstą korespondencję.

Wszyscy zgadzają się, że największą niespodzianką był światowy eksperyment teatralny. Łejery postanowiły wystawić dramat wg Szekspira pt. „Romeo i Żulia". Rzecz jak wiadomo o dwóch zwaśnionych rodach i nieszczęśliwej miłości ich najmłodszych przedstawicieli. Całość, jak przystało na teatr harcerski, dzieje się współcześnie na jednym z podwórek. Ot, historia, która może zdarzyć się w każdej kamienicy.

Jednej z prób przyglądali się Grecy i, mimo że nie znali ani naszego języka, ani tekstu, co chwila wybuchali śmiechem. Zupełnie jakby wiedzieli, o co chodzi. Na scenie chwila konsternacji, gorączkowa narada i... zaproponowano im udział w przedstawieniu. Gredy bez chwili namysłu włączyli się do zabawy. Eksperyment okazał się nadspodziewanie udany. Międzynarodowa obsada aktorska nie tylko nie pomyliła ról, ale zyskała ogromny aplauz widowni. Także przecież międzynarodowej.

Opłacało się trudzić podczas prób. Przedstawienie zrobiło furorę. Od tej chwili wszędzie, gdzie się pojawiali, witały ich radosne okrzyki i uśmiechnięte twarze.

Na zakończenie zorganizowali dyskotekę. Polskie przeboje cieszyły się ogromną popularnością. Bawił się do szaleństwa cały obóz i okolice. Nie przeszkodził nawet deszcz.

Za oknem zapada jesienny mrok. Chłodny wiatr zrywa ostatnie liście z drzew. Łejery grzeją się przy herbacie i wspominają. Patrząc na ich błyszczące oczy i uśmiechnięte twarze przekonałem się, że stara jak harcerstwo prawda potwierdziła się jeszcze raz: „Śmiej się, ludzie ze śmiechem świat zdobywają".

ANDRZEJ BANASIK

POLSKIE ŚLADY NA SYBERII

Syberia. Ta nazwa wzbudzała grozę. Kraj zsyłki rosyjskich dekabrystów, socjalistów, komunistów, polskich powstańców. Wszystkich tych, którzy zagrażali caratowi. Taka pozostała w literaturze i starych pieśniach skazańców – dalekie, bezkresne więzienie. Taka odeszła do historii.

Czym jest dziś?

Przeogromną krainą lasów, jezior, rzek i gór. Dziewiczej przyrody, jakże egzotycznej w naszym współczesnym świecie pozostawiającym jej coraz mniejsze skrawki ziemskiego globu.

Ojczyzną wspaniałych myśliwych, wytrwałych traperów, ludzi twardych, dzielnych, wolnych i upartych.

Niezgłębionym skarbcem gromadzącym wszystko to, co umieścił na swej tablicy Mendelejew. Źródłem ropy naftowej, gazu ziemnego, węgla, torfu, żelaza, miedzi, gorących źródeł podziemnych, białego węgla – energii wodnej. Bogactwa tej ziemi są dziś własnością wszystkich narodów Związku Radzieckiego.

Krainą nowych budów, nowych miast, zakładów pracy, placówek naukowych, imponujących inwestycji przemysłowych, linii kolejowych i autostrad.

Terenem opanowanym przez ludzi młodych, zdolnych, nie bojących się ryzyka i surowych warunków życia. Ludzi szukających szerokich perspektyw działania i możliwości realizowania śmiałych pomysłów.

Taka jest dziś Syberia. Kraina łącząca tak trudno się godzące idee: zachowania naturalnego piękna przyrody i podporządkowania jej człowiekowi kroczącemu drogą coraz bardziej rozwijającej się cywilizacji.

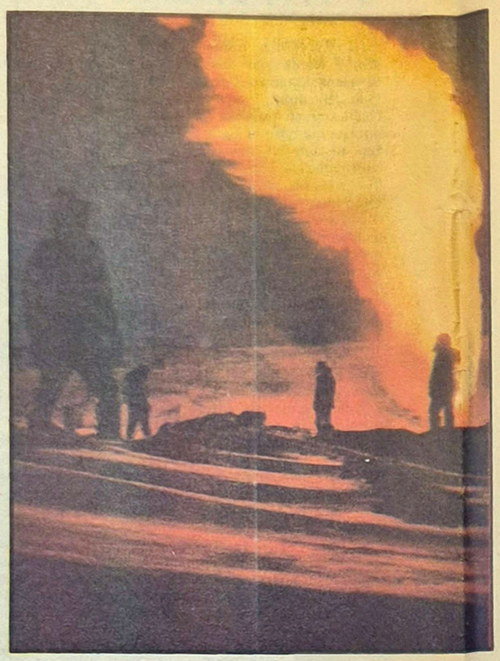

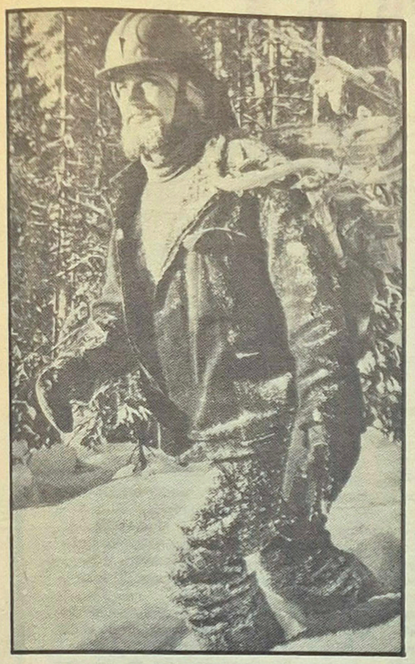

W środku Syberii Wschodniej, w najbardziej dzikich okolicach, tajga ciągnie się tysiącami kilometrów przez krainy poprzerzynane największymi rzekami kontynentu.

Ta bajkowo piękna ziemia kryje w swoim wnętrzu wielkie bogactwa – diamenty i węgiel, azbest i naftę, miedź i srebro, a właściwie wszystko, co w tablicy Mendelejewa.

Od Listwianki rozpoczęliśmy naszą podróż. Jest to nadbajkalska osada, dziś – zważywszy na ogromny ruch turystyczny oraz liczne domy wczasowe i sanatoria – prawie uzdrowisko. A przy tym najbliżej Irkucka położona nadbajkalska miejscowość, która dzięki zlokalizowaniu w niej instytutu zajmującego się badaniem jezior, w tym zaś przypadku rzecz jasna głównie Bajkału – stała się także ważnym ośrodkiem naukowym.

Zwrócony frontem do jeziora gmach Instytutu Limnologicznego mieści pracownie naukowców oraz zajmuje prawie cały parter muzeum, pozwalające na zapoznanie się z wynikami naukowych badań Bajkału.

I tu właśnie, w hallu muzeum Instytutu Limnologicznego witają nas brązowe popiersia Czerskiego, Dybowskiego i Obruczewa. To im właśnie zawdzięczamy naukowe poznanie Bajkału. Trzem wielkim badaczom, dwom Polakom i Rosjaninowi.

Jan Czerski (1845–1892) zesłany za udział w powstaniu styczniowym, przeszło ćwierć wieku spędził we Wschodniej Syberii, głównie nad Bajkałem. Bajkał zachwycił go i zafascynował jako temat badań, pasjonujący i tajemniczy, wraz z całą ogromną okolicą niezbadanych wówczas gór, rzek i porosłych tajgą falistych płaskowyżów.

Fascynacji Czerskiego nauka **zawdzięcza** pierwsze dane o budowie geologicznej nadbajkalskich terenów, występujących tu minerałach i ich rozmieszczeniu. Czerski bowiem stworzył pierwszą geologiczną mapę wybrzeży tego ogromnego jeziora, opracowaną w toku kilku długotrwałych wypraw. Naukowe poznanie wybrzeży Bajkału dokonane przez naszego rodaka, do dziś – choć oczywiście wzbogacone przez następnych badaczy, a ostatnio nawet przez badania geologiczne wykonywane przy użyciu sztucznych satelitów Ziemi – nie straciło aktualności i uważane jest za fundament wiedzy o tej krainie i wzór naukowej twórczości.

W ciągu 26 lat pobytu na zesłaniu Czerski odbył wiele wypraw, nie tylko wzdłuż wybrzeży bajkalskich, i w jednej z takich ekspedycji zakończył życie. Pozostało po nim dzieło naukowe nie mające sobie wówczas równego w dziedzinie badań geograficznych, paleontologicznych i geologicznych najdzikszych, najtrudniej dostępnych okolic Syberii Wschodniej i Zabajkala. Została też – o czym świadczy również popiersie w muzeum Instytutu Limnologicznego – pamięć o nim. Pamięć o Polaku nie tylko odważnym i mądrym, ale także ujmującym ludzi swoją dobrocią, delikatnością i umiejętnością współpracy. Ten zesłaniec, tak jak wielu, wielu innych, że wspomnimy choćby Dybowskiego, Czekanowskiego, twórcę pierwszego słownika języka jakuckiego – Piekarskiego czy Sieroszewskiego – zdobył sobie ogromny szacunek. Patrząc dziś na jego mądrą, spokojną twarz witającą wchodzących do muzeum w nadbajkalskiej Listwiance – pamiętamy przecież, że człowiek ten zdobyłów wielki szacunek dzięki swojemu wkładowi w naukowe poznanie krainy, która schwyciła go – choć była mu przecież wieniem.

Pozostały też po nim Czerskim pamiątki w postaci nazw geograficznych. Góry Czerskiego ciągną się na przestrzeni około półtora tysiąca kilometrów od okolic ujścia Jany do Morza Łaptiewów w północnej Jakucji, a więc daleko za Kręgiem Polarnym, aż po górny bieg rzeki Kołymy. Najwyższy szczyt tych gór, zwany Pobiedą, sięga 3147 metrów nad poziom morza. Właśnie niedaleko tego szczytu wielki badacz zakończył życie w 1892 roku, podczas wyprawy naukowej. Uczestniczką tej ekspedycji była również żona Czerskiego – Marfa, słynąca z odwagi i wytrwałości współorganizatorka wielu jego trudnych i niebezpiecznych naukowych wypraw. Znajdujemy też nazwisko Czerskiego na mapach okolic Bajkału, gdzie w paśmie Gór Bajkalskich, ciągnących się wzdłuż północnego odcinka zachodniego brzegu jeziora, leży Góra Czerskiego (2472 m nad poziomem morza), a właściwie cały grzbiet górski o tej samej nazwie. Również u południowego krańca Bajkału znajdujemy jego nazwisko: Szczyt Czerskiego o wysokości 2090 m.

Władimir Obruczew, którego popiersie stoi obok popiersi Czerskiego i Dybowskiego – był wielkim kontynuatorem dzieła rozpoczętego przez Czerskiego. Obruczew jest autorem fundamentalnego dzieła „Geologia Syberii". Urodził się on akurat w tym roku, kiedy w Polsce wybuchło powstanie styczniowe, w którym z bronią w ręku wziął udział 18-letni wówczas Jan Czerski. Kiedy zaś były powstaniec, już jako zesłaniec i zarazem pionier naukowych badań Syberii, umierał podczas naukowej wyprawy na dzikim bezludziu pośród kamienistej tundry – Obruczew miał jeszcze przed sobą 64 lata życia wypełnionego pracą naukową.

Dyrektor Instytutu Limnologicznego – członek-korespondent Akademii Nauk ZSRR prof. Grigori Gałazij najchętniej jednak mówi o **Benedykcie Dybowskim** (1833–1930). – *Bo Dybowski* – mówi dyrektor – *to w najpełniejszym tego słowa znaczeniu inicjator i pierwszy organizator naukowych badań Bajkału i właściwie ojciec tutejszego Instytutu Limnologicz-*

Dybowski, podjąwszy w gronie współpracowników, wśród których byli też towarzysze zesłania (J. Czerski, A. Czekanowski, W. Godlewski) badania Bajkału, zauważył, że większość zamieszkujących jezioro zwierząt wodnych i ptaków stanowią endemity, czyli gatunki, które nigdzie na świecie – poza Bajkałem – nie są spotykane. Zbierał też rośliny i wszystko to zaczął wysyłać uczonym i różnym placówkom naukowym w wielu krajach. Jako lekarz i biolog był wykształconym specjalistą – ale jako polityczny zesłaniec, czyli więzień nie mający prawa opuścić Syberii – nie mógł liczyć na zrozumienie i pomoc ówczesnych władz rosyjskich. Stąd też jego inicjatywa zorganizowania systematycznych badań flory i fauny Bajkału początkowo nie spotkała się z żadnym poparciem ani pomocą. Mimo to podjął on stacjonarne badania już w 1869 roku, uważanym powszechnie za początek istnienia placówki naukowej nad Bajkałem, która – dzięki energii i staraniom Dybowskiego – w 1896 roku przekształciła się w stałą stację naukowo-badawczą.

– *W gruncie rzeczy* – mówi dyrektor Gałazij – *Dybowski sam stworzył ową stację naukowo-badawczą, przy bardzo skromnej, i to dopiero w późniejszym okresie, pomocy Wschodnio-Syberyjskiego Oddziału Towarzystwa Geograficznego w Irkucku.*

Program badawczy Dybowskiego stał się podstawą zupełnie nowej gałęzi nauki zwanej limnologią, czyli nauki o jeziorach. Podobnie jak Czerski był tak zafascynowany syberyjską przyrodą, że nawet po uwolnieniu z zesłania przyjeżdżał wielokrotnie nad Bajkał i publikował poświęcone mu dzieła naukowe, a jak twierdzi dyrektor Gałazij, chyba dotąd jeszcze nie cała bajkalska twórczość Dybowskiego została usystematyzowana i skatalogowana.

Zbieg okoliczności i prosty przypadek bywa często sojusznikiem wielkich uczonych. Tak było i z bajkalskimi badaniami Dybowskiego. Jego pierwsza stała stacja naukowa, ta właśnie z roku 1896, powstała w miejscu, gdzie rzeka Gołoustnaja wpada do Bajkału, we wsi Gołoustnoje. Finansowo pomógł bogaty kupiec Piatidiesiatnikow, który nie bardzo znał się na nauce w ogóle, a o powstającej właśnie limnologii oczywiście nie miał pojęcia – natomiast miał syna, który studiował w Petersburgu, skąd za jakieś przewinienia wobec carskiej władzy został zesłany na Syberię w okolice Bajkału. Piatidiesiatnikow sfinansował częściowo budowę i wyposażenie stacji naukowej nad Bajkałem po to, aby syn jego mógł na zesłaniu robić coś mądrego i pożytecznego. Taki był początek hydrometeorologicznych i przyrodniczych badań Bajkału i jego najbliższych okolic.

Dla naukowych zainteresowań trzech sławnych badaczy, których popiersia zdobią hall muzeum bajkalskiego instytutu, bardzo pożytecznym wydarzeniem było podjęcie jednego z największych w XIX stuleciu przedsięwzięć inżynieryjnych – budowy sławnej Kolei Transsyberyjskiej. Właśnie w 1896 roku rozpoczęto prace, równocześnie od strony Moskwy i od Władywostoku. W tymże roku zorganizowano specjalną ekspedycję hydrograficzną i wysłano nad Bajkał w celu zbadania możliwości uruchomienia żeglugi promowej przez jezioro. Ekspedycja pracowała do roku 1902, a w 1908 opublikowano charakterystykę hydrograficzną Bajkału wraz z reliefem, czyli opisową i rysunkową charakterystyką ukształtowania jego dna. Dyrektor Gałazij twierdzi, że jeszcze teraz sporządzona przez tę wyprawę naukową mapa dna i brzegów Bajkału w skali 1:42000 służy do celów nawigacyjnych.

A nad Bajkał od początku XX wieku przybywały coraz częściej różne ekspedycje naukowe. W 1916 roku Akademia Nauk zorganizowała wyprawę, której celem było wybranie miejsca pod stałą stację naukową. Tak powstała działająca do dziś stacja, około 18 km od Listwianki, w której znajduje się Muzeum Instytutu Limnologicznego.

WOJCIECH KUBICKI

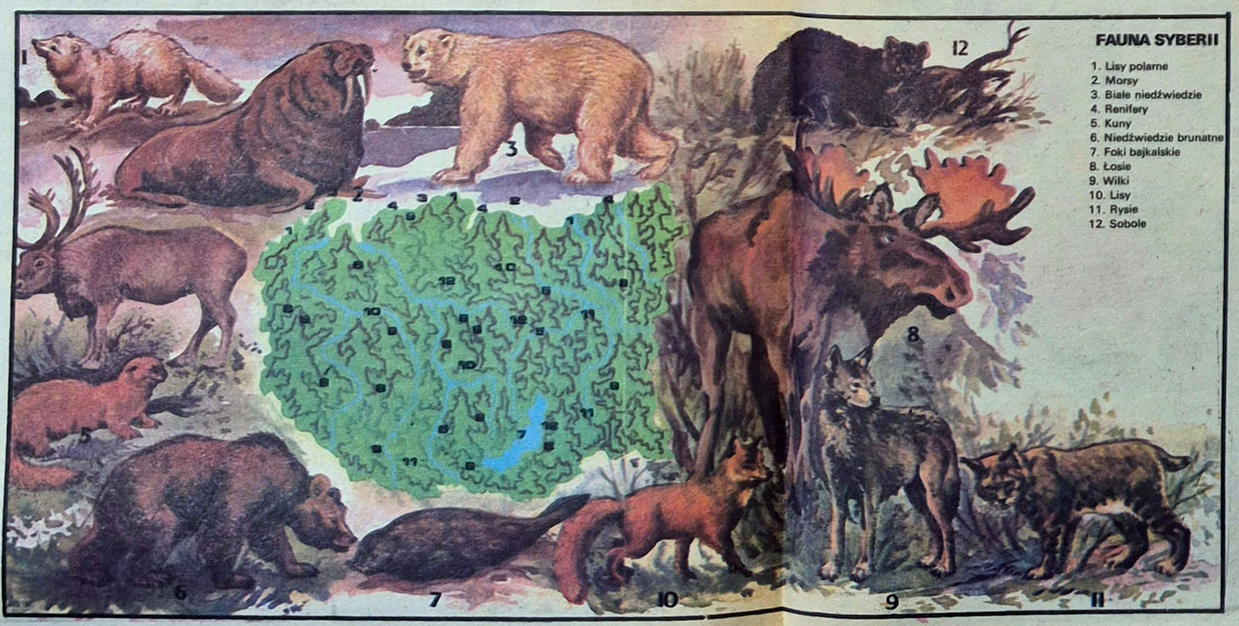

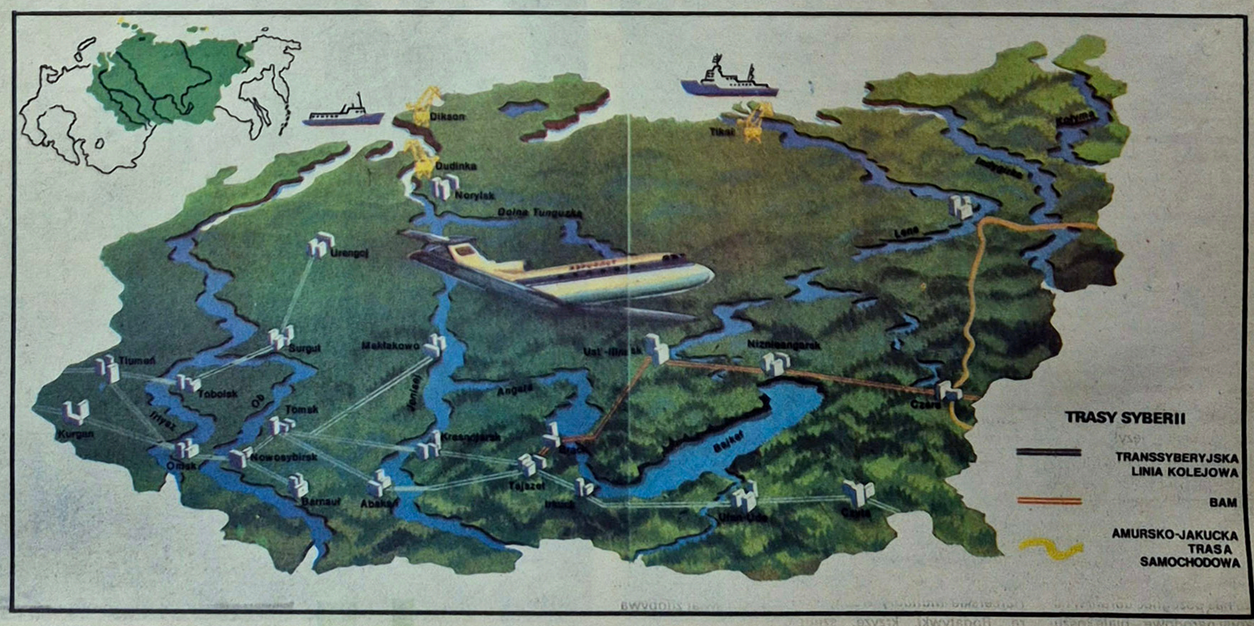

TO JUŻ DZIESIĘĆ LAT!

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Radaguje LECH NOWICKI

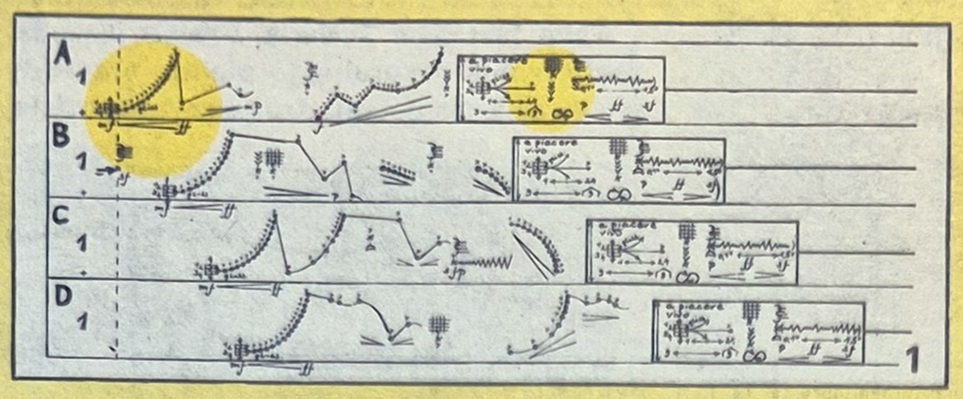

Jak ten czas leci.... Debiutowałem w „Świecie Młodych" artykułem „Kto zagra na ...pile?" Rozpocząłem go tak: *„Na początek – zagadka! Co przedstawia zamieszczony obok rysunek?* (fot. 1) *Wykres trzech prądów jednofazowych w prądnicy prądu trójfazowego? przebieg reakcji łańcuchowej? a może powstawanie i rozchodzenie się fal elektromagnetycznych? Nie, nie, nie...! Jest to fragment utworu muzycznego. Niemożliwe? To prawda, ale... zacznijmy od początku."* I to był początek mojej współpracy ze „Światem Młodych". Zachęcony przez szefową działu kulturalnego, wspaniałą, pogodną, życzliwą panią Barbarę Tylicką do dalszych działań, przyniosłem niebawem do redakcji kolejny materiał, tym razem wywiad ze znanym kompozytorem Włodzimierzem Kotońskim. Zacząłem i tym razem „mocno": *„Kochani! Poznałem człowieka, który słyszał w Berlinie amerykańską grupę „Sun Ra", w której sam szef grał na siedmiu albo ośmiu instrumentach elektronicznych! Niewiarygodne, co on potrafił z tych instrumentów „wygrać"! Chcecie usłyszeć jeszcze coś ciekawego? Zgoda! Pozwólcie tylko, że przedstawię wam mojego rozmówcę..."*. Muzyką współczesną chciałem zdobyć serca i umysły czytelników „Świata Młodych". Atakowałem więc dalej! Po bulwersującym tytule „Zamiast mandoliny...moog" pisałem: *„Czy pamiętacie jeszcze „Prażoną kukurydzę"? Jeśli pamiętacie, to proponuję mały konkurs! Kto z was wie, na jakim instrumencie grana jest ta melodia? Na ksylofonie? wibrafonie?... organkach?... Nikt nie zgadł! Otóż wykonawcą tego szlagieru jest syntezator..."* 13 listopada ukazała się pierwsza rubryka muzyczna, jeszcze bez nazwy... Znalazły się w niej: rozmowa z kompozytorem, przede wszystkim muzyki filmowej, Waldemarem Kazaneckim, biografia artystyczna George Zamfira, piosenka „Kominiarz Johny", ciekawostka opatrzona tytułem „Dyskoteka na szynach", zdjęcia Zamfira, Kazaneckiego i muzyka jazzowego – Don Cherry grał i śpiewał w towarzystwie pięcioletniego syna (fot. 2)... 23 listopada ogłosiłem...

KONKURS...

....na nazwę muzycznej strony. Prosiłem: *„pomysły z tytułami przysyłajcie do dnia 5 grudnia br. Na kopercie narysujcie klucz wiolinowy. Wśród czytelników biorących udział w tym błyskawicznym konkursie rozlosujemy 5 fotosów Maryli Rodowicz z jej autografami"* Obok był wydrukowany wywiad z Marylą Rodowicz (rozmawiałem z p. Marylą nieraz! (fot. 3), jej zdjęcie w sukni z napisem „małgośka" (wtedy był to wielki przebój). 1 grudnia ukazała się kolejna rubryka muzyczna, nadal bez nazwy... Przedstawiałem w niej Andrzeja Korzyńskiego, rozmawiając z nim o „Żółtych kalendarzach" i „W pustyni i w puszczy". Na zakończenie rozmowy poprosiłem o fragment muzyki z filmu „W pustyni i w puszczy". Pan Andrzej zaproponował temat przewodni....

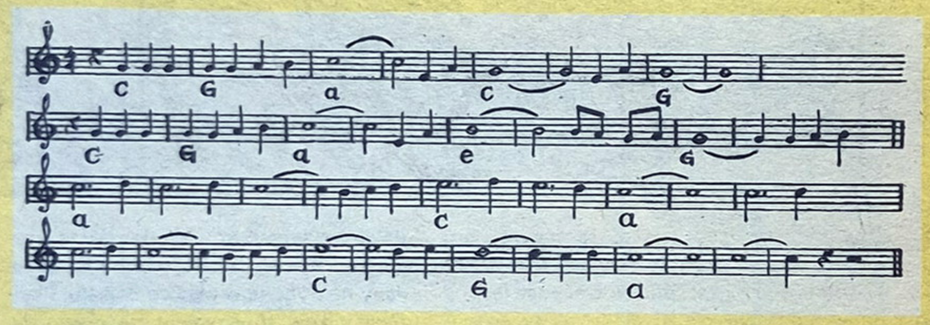

25 grudnia 1973 roku ukazał się.....

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Pisałem: *„Kochani melomani! Konkurs na nazwę strony muzycznej – rozstrzygnięty! Tak więc jeszcze w starym roku 1973 strona muzyczna otrzymuje imię – ŚWIAT MUZYKI. Mam nadzieję, że ten „Młokos" wydorośleje i stanie się Waszym przyjacielem, bez którego trudno będzie się obyć. A na razie cieszymy się z tego, że już zwrócił waszą uwagę, o czym świadczy worek listów. Kochani! Od dnia dzisiejszego będziecie czytali...*

ŚWIAT MUZYKI...

Nie żaden „mały świat", ale „duży światek". A ŚWIAT MUZYKI jest ogromny... Ludzie, którzy chcą go poznać, muszą interesować się nie tylko listą przebojów, ale i muzyką Chopina, którą niepotrzebnie nazywa się muzyką poważną. Chcemy z Wami rozmawiać o dobrej muzyce, a więc zarówno o Beethovenie jak i Niemenie. Mamy nadzieję, że będziecie nam pomagali w doborze materiału!"

I pod tym przesłaniem sprzed dziesięciu lat podpisuję się i dziś... czego dowodem zawartość – no właśnie – ilu? Światów Muzyki. Znajdujecie w nich listy przebojów, wywiady ze znanymi muzykami rockowymi, ale także biografie Bacha, Beethovena i innych wielkich kompozytorów, recenzje koncertów z udziałem polskich i zagranicznych orkiestr symfonicznych. Chciałem także rozbudzić nie tylko bierne ale i czynne zainteresowanie muzyką, czego dowodem nuty i słowa piosenek adresowane do tych, którzy potrafią zaakompaniować sobie na gitarze, jak i lekcje gry na flecie prostym i gitarze, przeznaczone dla początkujących instrumentalistów. Przypomnę, że fleciści i gitarzyści, „absolwenci" naszych kursów, brali udział w warsztatach muzycznych zorganizowanych w ramach Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach. Jedni muzykowali, inni pisali... Zachęcałem zawsze, i zachęcam nadal, do współpracy ze Światem Muzyki tych, którzy potrafią zrecenzować koncert lub płytę. Recenzje autorstwa Waszych koleżanek i kolegów traktowałem zawsze bardzo poważnie, nawet jeśli nie zgadzałem się z opiniami w nich wyrażonymi. W ogóle listy od Was czytam z ogromnym zainteresowaniem. Te najciekawsze ...sprzed dziesięciu lat także! – schowałem. Może jeszcze kiedyś je wykorzystam? Przypomnę wtedy... trzydziestoletniemu, pewnie już tatusiowi, że bardzo prosił mnie o... zdjęcie Maryli Rodowicz. Wielu czytelników Świata Muzyki utrzymuje ze mną stały kontakt, zwraca się z pytaniami i prośbami nie tylko dotyczącymi muzyki. Nie na wszystkie listy odpowiadam, ale uwagi w nich zawarte wykorzystuję przy redagowaniu Świata Muzyki.

19 lipca 1974 roku ukazał się próbny jeszcze kolor z wywiadem z Januszem Popławskim, któremu pierwsze pytanie zadałem w imieniu czytelników Świata Muzyki: czy można samemu nauczyć się grać na gitarze? Janusz Popławski odpowiedział: *Oczywiście! Trzeba tylko chcieć i mieć silną wolę, aby nie zrezygnować z nauki przy zetknięciu się z pierwszymi trudnościami....* To właśnie wtedy, po tej rozmowie, zaproponowałem Januszowi przygotowanie lekcji gry na gitarze. Z pierwszej korzystaliście 20 grudnia 74 roku. Jeszcze w roku 74 kolorowy Świat Muzyki zaczął się ukazywać regularnie – dokładnie od 5 listopada. A skoro kolor – to zdjęcia... Teraz musiały być nie tylko czarno-białe, ale i kolorowe. Jeśli chodzi o polskich wykonawców, kłopotów nie było. Fotoreporterzy Świata Muzyki chodzili na koncerty, jeździli ze mną na ogólnopolskie przeglądy i festiwale. Zdjęcia zagranicznych muzyków należało zdobywać... No i zdobywałem. Nie zawsze otrzymywaliście te najlepsze, ale... teraz już zastrzeżeń do zdjęć raczej nie ma.

Przed napisaniem tych wspomnień zwróciłem się z pytaniem do szefowej działu kulturalnego, czy warto... przyznawać się do tych dziesięciu lat. Odpowiedziała, że nie tylko warto – po prostu trzeba! Więc się przyznałem... Wdzięczny będę za listy od tych czytelników Świata Muzyki, którzy czytali tę kolumnę dziesięć lat temu i... czytają ją nadal.

TAJEMNICA KAZACHSKIEGO „NESSI"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

ucichł. Byliśmy więc już prawie pewni, że te dziwne odgłosy nie są wydawane przez zwierzę. Ale ich pochodzenie w dalszym ciągu pozostawało zagadką.

Poszukiwania ciągle trwały. Pewnego razu przyglądaliśmy się śladom soli na brzegu jeziora, zwróciliśmy uwagę, że w odległości półtora – dwóch metrów od zachodniego brzegu na wodzie tworzą się nieduże, ale dość liczne lejki. Wyglądało to tak, jakby od dołu coś wciągało wodę.

Zebrane przez nas dotychczas pojedyncze fakty zaczęły tworzyć istną mozaikę! Co oznaczają te liczne lejki? Dlaczego od czasu do czasu z jeziora dochodzą dziwne odgłosy? Dlaczego oba końce „potwora", którego udało mi się zaobserwować, pozostawały nieruchome, chociaż całe ciało wiło się energicznie?

Wszystko to składało się na jakże jasną hipotezę. Znalazła nawet swoje wytłumaczenie i legenda o uzdrawiających własnościach wody, i opowieści o tajemniczym zniknięciu ludzi i zwierząt w jeziorze.

Ostatecznie zjawiska te wyjaśnił przebywający nad jeziorem geolog Południowo-Kazachskiego Zarządu Geologicznego B. Wołczkow. Stwierdził on, że jezioro jest pochodzenia lodowcowego i leży w lejku osadów morenowych. Moreny zaś bardzo łatwo wypłukuje woda i powstają wówczas zagłębienia. Takie zagłębienia, a raczej całe kanały typu syfonowego powstały też na dnie jeziora Kol-kol (nawet udało się nam znaleźć taki kanał i zmierzyć jego głębokość). Stało się jasne, że od czasu do czasu w zależności od osadów i od podziemnych warunków hydrogeologicznych pewne porcje wody są wsysane przez kanał (bądź kanały). Wtedy widoczne są małe lejki lub wygięcia ciała „potwora". Jeśli duża ilość wody jest wsysana wraz z powietrzem, wówczas jezioro „krzyczy". Oczywiście taki wir niespodziewanie może wciągnąć kąpiącego się. Rzecz jasna, że podziemne kanały – syfony w jakiś sposób regulują też poziom jeziora. Prawdopodobnie ma również swoje podstawy legenda o uzdrawiających właściwościach wody – nie na darmo podczas suszy na brzegach osadzają się sole.

Ale czy to już wszystko? Niezupełnie. W dalszym ciągu nie dawały mi spokoju pewne szczegóły legendy. Wiadomo dlaczego uważano, że „potwór" był podobny do węża. Ale przecież uparcie porównywano go do wielbłąda, a na dodatek do wielbłąda jednogarbnego i białego! W jaki sposób zaobserwowane wężowate ruchy potwora mogły stworzyć takie wyobrażenie?

Długimi godzinami obserwowałem jezioro z różnych miejsc zarówno podczas ładnej pogody, jak i w niepogodę. W końcu moja cierpliwość została wynagrodzona. Wszystko wydarzyło się zupełnie nieoczekiwanie. Znad przełęczy szybko nadciągały chmury śniegowe, a szczyty gór pokryły się nagle obfitym śniegiem. Spadł zimny, ulewny deszcz. Ciepłe jezioro jakby zaczęło parować. Nad jego powierzchnią pełzł szereg białych obłoków. Nagle obłoki zaczęły przybierać kształty jakichś fantastycznych zwierząt. Kiedy osiągnęły stromy brzeg, ich przednia część wyciągnęła się tworząc długą szyję, której koniec przybrał kształt głowy potwora. Nawet w dzień, w sytuacji kiedy znaliśmy już tajemnicę jeziora, potwór z obłoków wyglądał przerażająco, że mimo woli cofnąłem się, gdy się zaczął zbliżać. Teraz doskonale wyobraziłem sobie, co czuli nasi przodkowie, kiedy pojawienie się „potwora" zbiegało się z głośnym i tajemniczym krzykiem...

ANATOLIJ PIECZERSKIJ

Tłumaczyła: **BARBARA NOCEK**

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Nasi najmłodsi abrakadabryści mogą zacząć rozwiązywanie dzisiejszych zadań od wyszukiwania par. Najbardziej doświadczeni – od małego zadania-błyskawicy, które można rozwiązać w ciągu... minuty. Do zobaczenia za tydzień!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ZADANIE-BŁYSKAWICA

Podziel 120 na cztery części tak, by pierwsza dzielona przez drugą dawała 3 i reszty 5, trzecia część dzielona przez drugą dawała 1 i reszty 10, a trzecia dzielona przez czwartą część dawała w ilorazie 6.

JAK PRZEJŚĆ NA WYSPĘ: rozwiązanie na rysunku. ROZSTAW KAMIENIE: na tej „szachownicy" zmieści się tylko 12 kamieni, jeśli rozstawimy je zgodnie z warunkami zadania (patrz rysunek).

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

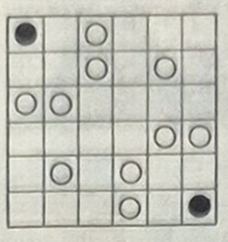

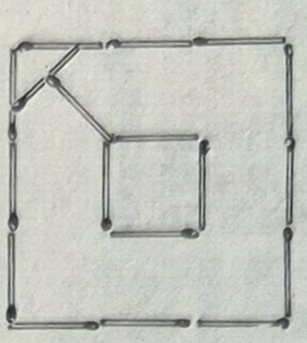

TEATR CIENI ABRAKADABRY

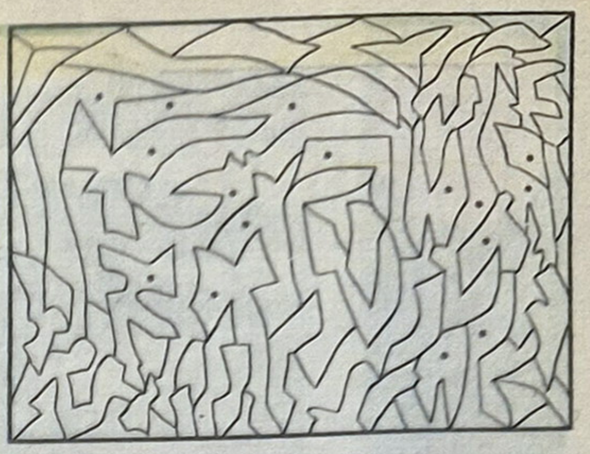

Popatrz uważnie na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem w jedną całość te wszystkie jego fragmenty, które oznaczono kropkami. Czy układają Ci się już w jakiś obraz – wizję? Teraz weź ołówek lub mazak i starannie zamaluj te wykropkowane obszary. Rozwiązanie otrzymasz natychmiast, bo na tym polega nasz teatr cieni.

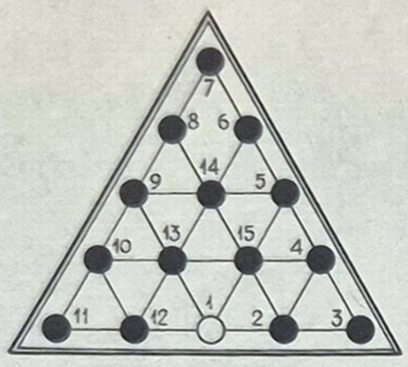

ZAGRAJ Z MĄDRYM...

Bez trudu narysujesz na kartce papieru takie pole gry, powiększone w zależności od wielkości pionków, jakich będziesz używał. Rozstaw na twoim polu 14 pionków tak, jak rozstawione są czarne krążki na rysunku. Zadanie polega na tym, żeby kolejno pozbijać wszystkie pionki, a ostatni „żywy" musi się znaleźć w polu oznaczonym jedynką. Pionki wolno poruszać tylko wzdłuż zaznaczonych linii prostych i tylko wtedy, gdy pionek może przeskoczyć przez stojący na sąsiednim polu pionek na puste miejsce za nim. Ten pionek, przez który przeskoczyłeś – usuwasz natychmiast z pola. Słowem – podobnie jak w warcabach. Nie koniec jednak na tym: sztuki zbicia wszystkich pionków z wyjątkiem tego na „jedynce" trzeba dokonać używając jak najmniejszej ilości ruchów. Ta najmniejsza ilość – to 13. Podpowiem Ci pierwsze trzy: 1) z 5 na 1; 2) z 7 na 5; 3) z 8 na 15... Próbuj dalej sam, a jedno z pełnych rozwiązań zamieszczę za tydzień.

WYSZUKAJ TYLKO PARY

Na tym rysunku są rzeczy powtarzające się dwa razy i tylko dwa razy. Wyszukaj je, nie zajmie Ci to więcej niż dziesięć minut. Rozwiązanie – w przyszłą sobotę.

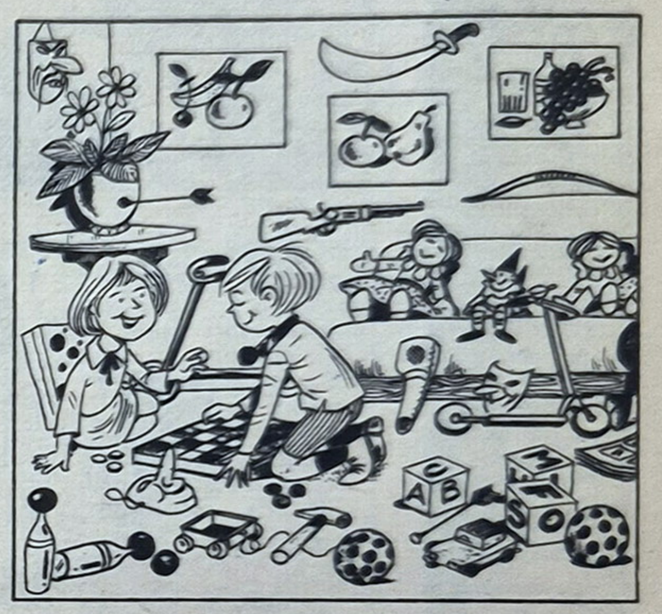

NIBY TO SAMO...

Aż siedem drobnych szczegółów z lewego obrazka użytych zostało w zupełnie innych sytuacjach na rysunku prawym. Znajdź je, zaznacz i porównaj z rozwiązaniami za tydzień.

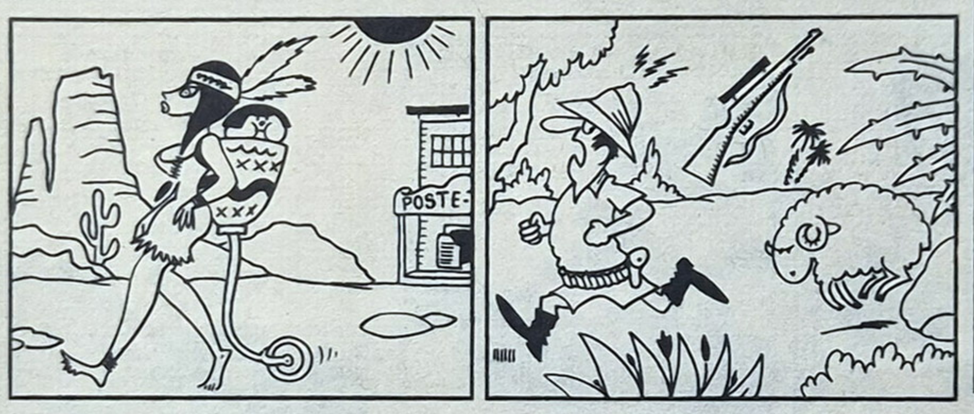

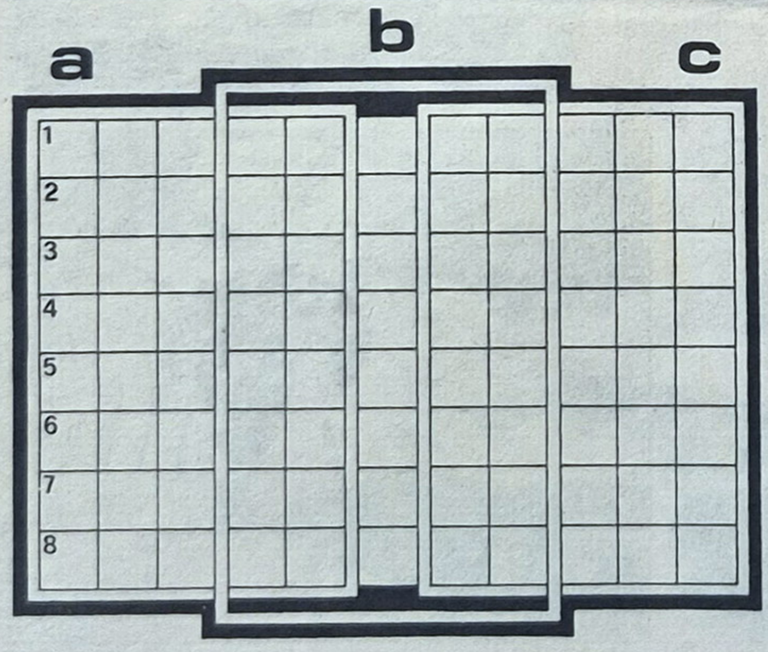

ZADANIE PREMIOWANE NR 448

LOGOGRYF WIĄZANY

Odgadnij 5-literowe wyrazy o podanych znaczeniach i wpisz je do diagramów „a" i „c". Następnie w puste pola wpisz takie litery, aby w diagramie „b" powstały także wyrazy 5-literowe. Dopisane litery powinny utworzyć aktualne rozwiązanie. Prześlij je w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-551 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 448".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród. ZNACZENIE WYRAZÓW (najpierw w diagramie „a", potem w „c"): 1) prosto od krowy – szajka, 2) olbrzym, gigant – łączy Wieprz z Krzną, 3) pocięta staje się sieczką – republika radziecka, której stolicą jest Ryga, 4) wiejski dom – siły zbrojne, 5) słuch, wzrok lub dotyk – nasze góry, 6) wieko, pokrywa (albo niepowodzenie) – w ręku kowboja, 7) wieje – duży, usmolony garnek, 8) pomieszczenie dla krów – drań.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 443
ze 114 numeru „Świata Młodych"
z dnia 24.09.1983 r.

Sołdek, Wojski, skowyt, kodeks, dopływ, wykres, krater, Rokita, Konrad, rezeda, meczet, słońce – jesień.

Nagrody wylosowali:
Piotr Adamski – Zielona Góra, Paweł Buczowski – Nowy Sącz, Danuta Dzięglewicz – Jasło, Dariusz Grzegórski – Lublin, Paweł Lech – Stalowa Wola, Joanna Nieżychowska – Piła, Miłosława Poreda – Ruciane-Nida, Tomasz Słobonecki – Opole, Tomasz Świat – Bydgoszcz, Aleksandra Urbańska – Tarnów.

kilkadziesiąt lat temu, używane przez ludzi, mechaniczne „zegarki" mogły się psuć czy późnić, ale teraz czas wszystkich chronometrów w danym rejonie Ziemi synchronizował zdalnie automatyczny chronizator; przy przekraczaniu granicy czasu kontrolę przejmował natychmiast inny, właściwy dla danego regionu. Żaden chronometr nie mógł wskazywać innej godziny niż pozostałe, znajdujące się w jego pobliżu.

Usiadłem znowu, objąłem głowę rękami; musiałem sobie jakoś to uporządkować. W tej samej chwili poczułem nagły niepokój; było coś istotnego, o czym natychmiast powinienem, sobie przypomnieć. Wiedziałem, że to ważne, że bezpośrednio wiąże się z owym faktem. Po chwili wiedziałem już o co chodzi: to była owa stara historia, nigdy nie wyjaśniona, która zdarzyła się jeszcze w ubiegłym wieku...

Tak – w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku. Na lotnisku w Miami. Śledzony na ekranie radarów samolot linii pasażerskich „National Airlines" podchodzący właśnie do lądowania znikł nagle z wszystkich ekranów. Przez dziesięć minut nie było go widać. Po czym znów się ukazał i najnormalniej w świecie wylądował. Załoga samolotu była bardzo zdziwiona zaniepokojeniem, z jakim ich przywitano w kapitanacie portu – ich zdaniem nic się nie wydarzyło. „Przez dziesięć minut nie egzystowaliście" – przywitał ich dyżurny, który prowadził samolot do lądowania. Sprawdzono zegarki ręczne załogi i zegary w samolocie; wszystkie spóźniały się o dziesięć minut w stosunku do rzeczywistego czasu. A na dwadzieścia minut przed zniknięciem samolotu z ekranów sprawdzono czas z obowiązującym na lotnisku; żadnych różnic wówczas nie było.

Przetarłem czoło ręką; było mokre od potu. Gdzie w ciągu tych dziesięciu minut znajdował się samolot wraz z ludźmi, których miał na pokładzie? I gdzie – wciąż jeszcze znajdowałem się ja? Teoretycznie możliwe jest przechodzenie z jednego wymiaru do drugiego. Wymagałoby to użycia olbrzymiej energii, którą mógłby, na przykład dostarczyć odmiennny rodzaj grawitacji. Jeśli założyć istnienie wielowymiarowej paraprzestrzeni, w której nie istnieje ani czas, ani odległość, ani materia, można więc pokonywać w niej nieskończenie wielkie przestrzenie w czasie zerowym – mogłem właściwe być wszędzie... Nonsens. Widziałem przecież wokół siebie wnętrze własnej kabiny.

Głowa zaczęła boleć, robiło mi się duszno, choć klimatyzatory nieprzerwanie napełniały kabinę świeżym, chłodnym powietrzem. Podniosłem się powoli i – z zamętem w myślach – powlokłem się w stronę drzwi.

Szedłem jak ślepiec, obijając się o biało lakierowane ściany – najpierw kabiny, a potem korytarza. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w ten sposób, kilka godzin temu, zrobiłem tę samą drogę – tyle, że w przeciwnym kierunku. W jakiejś chwili oparłem się o ścianę i stałem dysząc, niejasno przypominając sobie, że zdarzyło się to i porzedtem w tym samym miejscu. Powoli zaczynałem się uspokajać, odzyskiwałem wiarę w to, że wszystko co przydarzyło się dzisiaj, da się wyjaśnić w sposób całkiem zwyczajny. Zarówno różnica czasów na obu chronometrach jak i moje dziwne zaburzenia.

Kiedy znalazłem się na pokładzie byłem całkiem spokojny. Nadleciał lekki wiatr, poczułem jego szybkie, chłodne dotknięcie; stałem nieruchomo, oddychając coraz równomierniej, coraz mniej napięty. „Ariadna" pruła wodę potężnym kadłubem z błyskawiczną szybkością swoich trzydziestu dziewięciu węzłów; szeroki ślad torowy rozkładającej się na dwie strony, olśniewająco białej w zapadającym zmroku piany nasycały fosforyzujące błyski luminescencji, chwilami dobiegała cicha muzyka, głosy i śmiech bawiących się ciągle jeszcze ludzi. Wszystko to było tak swojskie, tak normalne... Z lewej burty nadciągała już ciemność, niebo stało się granatowe, pomiędzy smugami przebłyskiwały gwiazdy. Z przeciwnej strony, nad samą linią ściemniałej wody rozciągała się smuga intensywnego blasku, zabarwiając horyzont czerwienią przechodzącą ku górze w pawio-błękitne przelśnienia zamącane powoli nadciągającym mrokiem. Właśnie na tle tych blasków zobaczyłem dwie nieruchome sylwetki, jak ja wpatrzone w zamieranie barw zmierzchu. Poznałem je natychmiast; nie mogłem się pomylić – poniżej czarnych na tle zachodu ramion i głowy z zaczesanymi gładko, upiętymi włosami połśniewała głęboką, miękką bielą – jakby wchłonęła całe światło znikającego dnia, surowa w liniach, ściśle przylegająca do ciała, długa suknia. Skafander Ray'a, przez kontrast z tą lśniącą bielą wydawał się błękitnawy.

Pożałowałem, że nie jest sam – dopiero zdając sobie sprawę, że – choć nie szukałem go tym razem świadomie – spodziewałem się go spotkać, chciałem z nim rozmawiać. Wydawał mi się jedyną istotą na pokładzie „Ariadny" zdolną zrozumieć moje uczucia i przeżyty niepokój.

Cdn.

21

Binio Bill kbia WESTERN i... W KOSMOS!

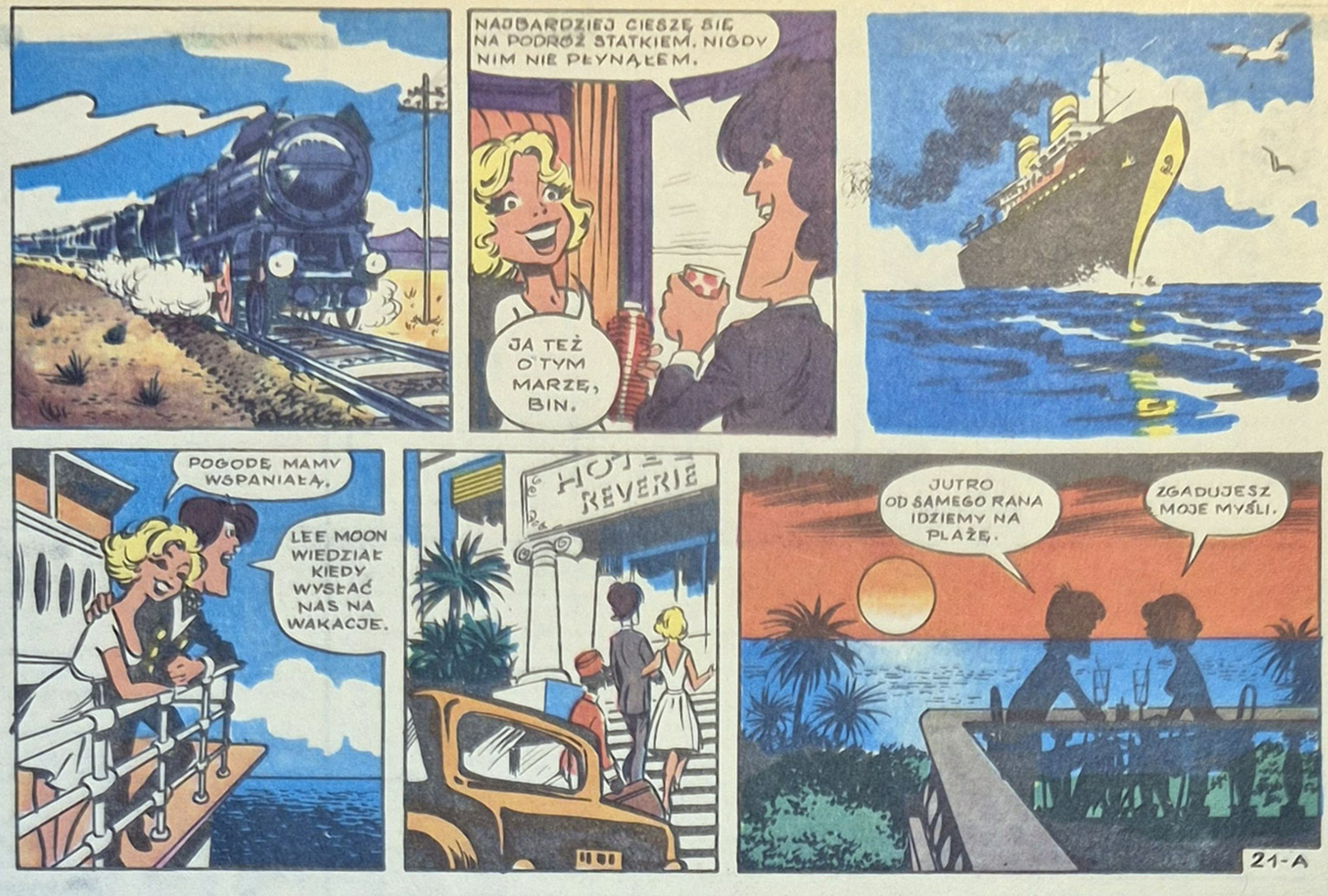

TEKST I RYS. Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH
MARCZYŃSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się we WTORKI CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Jerzy Rusak

Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska

Nr zam. 4303/G M-83

UŚMIECH NUMERU

KAZIU, powiedz mi, jakie to są ciała przezroczyste!
– To takie, przez które wszystko widać...
– Znakomicie! Podaj przykład!
– Dziurka od klucza...

★

– STRZELEC Gruszka, dlaczego zawsze zamykacie oczy przy oddawaniu strzału?
– Nie mogę patrzeć, panie kapralu, jak fatalnie pudłuję!

Gabriela Górska

15

PIEKIELNY TRÓJKĄT

I, kiedy tak patrzyłem poczułem nagle, zupełnie niespodziewanie ucisk pomiędzy brwiami – to było znowu to, poznane niedawno uczucie obnażenia, otwarcia, przerażającej pustki wypełniającej się powoli bezosobową, a przecież czujną i napiętą uwagą. Razem ze świadomością owej, penetrującej moje myśli? – uczucia? – reakcje? obcej woli poczułem znowu strach przeradzający się w potężny zawrót głowy.

Potykając się i czepiając framugi zdołałem jakoś wyjść – nie chciałem być wśród ludzi, nie chciałem by ktoś zauważył, pytał, by na mnie patrzył – jak przerażone zwierzę chciałem zawlec się gdzieś, gdzie byłbym z tym, co działo się we mnie i ze mną, sam. Nie wiem jak zdołałem dobrnąć do swojej kabiny, nie wiem jak, kiedy, znalazłem się na koi; drżąc, zataczając się, niezdolny skupić wzroku, nie panujący nad własnymi ruchami upadłem na nią twarzą.

Nie wiem jak długo leżałem tak, w owej pustce narastającej we mnie, a jednocześnie jak gdyby rozciągającej się także i na zewnątrz – jakbym ja sam wypromieniowywał wsysającą mnie próżnię. W jakiejś chwili zaczęły ją zaludniać niepojęte koszmary, a ja nie mogłem otworzyć oczu, krzyknąć, nie potrafiłem się bronić. Potem poczułem, że spadam – był to nie kończący się lot w ciemność, której się bałem, w nie mającą dna, czarną studnię, u której nieosiągalnego końca taiła się groza jakiej dotychczas nawet nie przeczuwałem, a przecież, w jakiejś chwili zacząłem oczekiwać spotkania z nią z utęsknieniem, bo wszystko było lepsze od owego przerażającego spadania.

Kiedy oprzytomniałem, kabinę zaczynały wypełniać blaski zmierzchu. Usiadłem – po raz drugi zdumiewając się tym, że czuję się całkiem dobrze, że nie odczuwam żadnego śladu niedawnych zaburzeń. Myślało mi się także spokojnie, precyzyjnie.

Były dwie możliwości: albo ja jestem chory – w takim wypadku mój udział w ekspedycji, a już szczególnie kierowanie nią stanie się niemożliwy, albo też to, co czułem, jest początkiem działalności Trójkąta; być może właśnie zaburzeń magnetycznych, o których mówił North, infradźwięków, lub jeszcze czegoś innego, co powinno stać się przedmiotem badań. By ustalić, która z tych możliwości wchodzi w grę należało przeprowadzić badania medyczne – jeśli wykluczę chorobę, pozostanie już tylko owo alternatywne rozwiązanie. Wtedy należałoby sprawdzić, czy ktoś inny nie miał w tym samym czasie analogicznych objawów, a także – prześledzić zapis wszystkich przyrządów pomiarowych „Ariadny"; jeżeli, choćby przez ułamek sekundy znajdowaliśmy się w strefie zaburzeń magnetycznych lub drgań infradźwiękowych – aparaty musiały to odnotować.

Należało więc zacząć od przebadania siebie – dopiero później zorganizować roboczą naradę. Wstałem i rozejrzałem się po kabinie; blask zachodu na ścianach ściemniał, morze widziane przez iluminator przybrało kolor granatu. Zaskoczony, spojrzałem na czasomierz, uświadamiając sobie, że od mego wyjścia z salonu musiało upłynąć co najmniej sześć-siedem godzin.

Pierwszą reakcją było tylko zdziwienie; mój osobisty chronometr wskazywał drugą, jakby od zakończenia coctailu i wyjścia „Ariadny" z portu upłynęły zaledwie trzy godziny. To było niemożliwe – niebo i morze najwyraźniej świadczyły o zbliżaniu się nocy. Rozejrzałem się, nieco bezradnie, mój wzrok napotkał wielki, ścienny czasomierz – wskazywał dziewiątą wieczór. Raz jeszcze spojrzałem na mój własny: nie, nie pomyliłem się, różnica wynosiła siedem godzin.

To było niemożliwe, po prostu nie mogło się wydarzyć. Kiedyś, te

Dokończenie na str. 7